Czy Bora-Bora, jedna z najbardziej ekskluzywnych i urokliwych wysp na świecie, według artystów, pisarzy i podróżników, zasługuje na miano przedsionka ziemskiego raju?

Jacek Pałkiewicz

BORA-BORA - ZIEMSKI RAJ CZY NIEWDZIĘCZNA OBLUBIENICA?

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Dziewczyna niczym jedna z modelek Paula Gauguina

Po długiej, niekończącej się podróży, docierając do Oceanii, a dokładniej do zamorskiego terytorium Francji, wyobraziłem sobie ocean jako wielkie niebo, wyspy jako gwiazdy rozrzucone w przestrzeni kosmicznej, a archipelagi jako konstelacje na sferze niebieskiej. Zdałem sprawę z bezkresnej przestrzeni Pacyfiku, który pokrywa jedną trzecią powierzchni planety. Ze względu na jego spokojne wody, Magellan po przebytych sztormach na Atlantyku, obwołał go Oceanem Spokojnym, podczas gdy Polinezyjczycy określali go Moana-Nui-o-Kiva - Wielkim Oceanem Błękitnego Nieba. Między zwrotnikiem Koziorożca a równikiem od dawna żyje mit Mórz Południowych i Polinezji. Pierwszymi Europejczykami, którzy w II połowie XVIII wieku odkryli ich urok i przyczynili się do narodzin obrazu ziemskiego raju i wiecznej szczęśliwości, byli kapitanowie Cook, Wallis i Bougainville.

Później cały szereg reżyserów, literatów i malarzy promował Bora-Bora, przybliżając ekscytujący obraz ponadczasowej wyspy. Wyłoniła się ona jak Wenus z fal miliony lat temu i rozciąga się na zaledwie 38 kilometrach kwadratowych. Kraina marzeń porywa serce i umysł przybysza spektakularnym pierścieniem rafy koralowej, bogactwa flory i fauny, rewią podwodnego świata, wyspą utworzoną przez częściowe zatonięcie wulkanu Otemanu, turkusową laguną o niezrównanej krasie i rozrzuconym po niej wieńcem motu, śnieżnobiałych piaszczystych wysepek koralowych. 727-metrowy powulkaniczny stożek zasnuty gęstą tropikalną roślinnością jak strażnik czuwa nad całą wyspą, odbijając swój profil w przeraźliwie turkusowych wodach mieniących się w zależności od pory dnia paletą coraz to innych barw.

Dziś, tak jak i u zarania dziejów, tętni bogatym życiem rafa koralowa. Tuż pod powierzchnią krystalicznej wody rozciąga się gigantyczne akwarium, w którym praktykując snorkelling z maską, fajką i płetwami, pływam wśród mant, żółwi morskich, muren. Delektuję się tysiącem gatunków ryb o krzykliwym ubarwieniu. Niektóre z ciekawości podpływają do intruza, inne mające zdolność migiem zmienić kolory i wzory, wtapiają się w otoczenie, gdy tylko poczują zagrożenie. Istny kolorowy fotoplastykon sycący oczy coraz nowszymi kompozycjami.

Dowodem, potwierdzeniem miana „perły Pacyfiku" jest oglądana ze szczytu wygasłego wulkanu zniewalająca panorama eksplodująca różnymi wymiarami zjawiskowości. Stąd jak na dłoni widać, że przyroda obdarzyła ją wszystkim, co miała najpiękniejszego: wiecznie zielone gaje palmowe, kaskady, spadziste bazaltowe skały, potoki, nieopisane kolory azalii, gardenii i rododendronów. Dodajmy jeszcze upajające zmysły żywe dźwięki i narkotyczne zapachy tiary czy wanilii. Pokaże to później towarzysząca mi ekipa filmowa Jana Jakuba Kolskiego.

Tu przychodzi powiedzieć, że nie ma jednej Bora-Bora. Brzmiąca kusząco i romantycznie wyspa zakorzeniła się w naszej fantazji jako personifikacja wakacji życia. Ale okazała się niewdzięczną oblubienicą. Rzuciła magiczne zaklęcie, trzyma nas w swoich ramionach i nie chce opuścić. Z dziennikarskiego obowiązku odnotuję, że oglądana od wewnątrz nie jest tak nadziemska i hipnotyzująca, jak się ją powszechnie gloryfikuje. Potwierdza to przejazd jedyną, 32-kilometrową drogą, która nie wnosi żadnych pokus. Pięciotysięczna Vaitape jest tak samo bezbarwna i zubożała jak wioski na przedmieściu Trzeciego Świata. Wszechobecna turystyka przemieniła naszą planetę w jedną gigantyczną globalną wioskę i wszystko staje się kwestią gustu. Odczucia są subiektywne, ile ludzi, tyle opinii. Dla jednych ten wakacyjny monument zawsze będzie takim jakim chcieliby go widzieć i zapamiętać, dla innych może pozostawić gorycz w gardle.

Z zainteresowaniem przyglądam się tuziemcom żyjącym w opieszałej atmosferze Mórz Południowych. Jak mało kto potrafią się radować życiem, które wiodą dniem dzisiejszym, beztrosko i z dużą pogodą ducha, nie zapominając o tutejszej maksymie aita pea pea, co odpowiada latynoskiemu manana, nie bierz zbytnio do serca, jakoś to będzie. Nie muszą się troszczyć o jutro, bo szczodra matka natura zapewniła im wszystko, co jest niezbędne do egzystencji: różnorodność ryb, owoce morza, drzewo chlebowe czy bogate w cenne substancje odżywcze orzechy kokosowe, z których uzyskuje się mleczko i olej, a także włókna do produkcji lin, włosia do szczotek czy nawet materiał opałowy.

Swego czasu tutejsza bytność uległa zmianie pod wpływem forsownej działalności misjonarskiej. Kiedy kapitan Cook powrócił po latach na Tahiti zastał już sporo przemian, nie dostrzegł na przykład dawnej swobody seksualnej. Ojcowie kalwiniści rozkruszyli pradawne tradycje, głosząc nową, anormalną dla Polinezyjczyków etykę lubieżności, odrzucili bóstwa, w które wierzyli tubylcy i przykryli nagie do tej pory dziewczęta. Na szczęście nie potrafili ograbić treści ich życia, zmysłowego i prowokacyjnego tamure, postrzeganego jako satanistyczny i nieprzyzwoity. To odzwierciedlenie tryumfu sztuki tańca polinezyjskiego, stanowi interpretację wolności i szczęścia. Zwyczajowo mieszkańcy zawsze mieli w duszy muzykę i taniec. Tamure można oglądać na każdej imprezie i przy każdej okazji, to również ważny rytuał powitania gości.

Mężczyźni znaczącymi gestami przekazują partnerkom gwałtowne uczucie. Te zaś, w spódnicach z włókien roślinnych i koronach, odpowiadają pełnymi wdzięku ruchami swojego ciała. Biodra tancerek kręcą się na najwyższych obrotach, raz w ósemkę, raz w kółko. Jest w tym kwintesencja kobiecego wdzięku i seksapilu, a przede wszystkim coś z finezyjnej miłosnej deklaracji w oprawie nadzwyczaj żywiołowego rytmu.

A co powiedzieć o pełnych erotyzmu vahine, kobietach z płócien mistrza Gauguina? Niewątpliwie nie są one już wizytówką dzisiejszej Polinezji, na której w ciągu kilku pokoleń wymieszało się dostatecznie dużo krwi i nacji. Kobiety o złotobrunatnej karnacji są z pewnością interesujące na swój sposób. Mocno zbudowane, noszą się dumnie, zachowując lekki chód. Są miłe, ale czy naprawdę urodziwe, jak głosi mit? Spotkałem takie, ale jedynie podczas folklorystycznego spektaklu w hotelowej restauracji. Owinięte w kolorowe pareu, kokieteryjnie przewiązane w biodrach, z puszystymi kruczoczarnymi, pełnymi blasku, włosami rozpuszczonymi na gołych plecach, ozdobionymi podobnym do jaśminu kwiatem tiare, czy ognistym hibiskusem, wzbudzały uznanie publiczności.

MĘŻCZYŹNI ZNACZĄCYMI GESTAMI PRZEKAZUJĄ PARTNERKOM GWAŁTOWNE UCZUCIE. TE ZAŚ, ODPOWIADAJĄ PEŁNYMI WDZIĘKU RUCHAMI SWOJEGO CIAŁA.

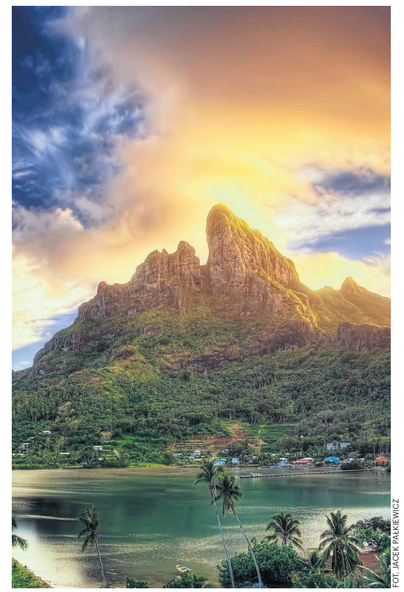

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Pełna niezmiernego czaru Bora-Bora

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Tradycyjne polinezyjskie fare, bungalowy na palach w luksusowym resorcie

Prawie we wszystkich relacjach z Polinezji wyłania się opinia, że tutejszy świat wyraźnie się zmienił. Nawet Paul Gauguin, który w poszukiwaniu dziewiczej pierwotności wyruszył na koniec świata, w listach do przyjaciół żalił się na innowacje, które „podcinają korzenie szlachetnej kultury". Na słonecznych wyspach nie zmienił się jednak kolor laguny ani zapach kwiatów, pozostał ten sam przepych bujnej roślinności, ten sam ocean i wygasłe wulkany. Nie uległy ewolucji majestatyczne białe obłoki wiszące nad wyspami. Francuskie terytorium zamorskie, składające się ze 120 wysp w połowie drogi między Ameryką Północną i Australią, uchowało się od „skażenia" języka polinezyjskiego. Problem taki dosięgnął już dawno Samoa, Tonga czy Fidżi, gdzie od lat mówi się wyłącznie po angielsku. Pozytywnie zaskakuje stosunek lokalnej ludności do otaczającej przyrody. Nie tylko sami dbają o ekologię, zmuszają też przyjezdnych, aby dostosowali się do niepisanych, ale bardzo precyzyjnych norm. Jako ciężki grzech traktuje się tu każde zanieczyszczenie laguny czy ścięcie palmy bez zatroszczenia się o posadzenie trzech na jej miejsce. Ci którzy bywali tutaj, wielokrotnie podkreślają, że Bora-Bora ma prawdopodobnie wszystko to, co leżące o kilka godzin lotu Hawaje miały kiedyś, a potem straciły.

„Nie brak tutaj i niedostatków - żalił mi się zadomowiony od dawna w tym miejscu Bastien. - Wyspiarska izolacja nie jest zbyt komfortowa. Klimat, nie ma o czym mówić, jest doskonały, ale wciąż jednakowy, cały rok ta sama temperatura 26-28 stopni. Fatalnie sabotuje psychikę nieustanny szelest pióropuszu liści palmowych oraz powtarzający się miarowo głuchy przybój oceanu. To zatruwa nerwy. Przynajmniej raz w roku muszę wyjechać do Paryża, żeby chociaż na trochę zmienić środowisko".

Ponad 270 tysięcy osób rocznie spędza tu wyszukane wakacje. Bardziej oszczędni zadowalają się skromniejszymi hotelami, gdzie doba kosztuje 250 dolarów. Zamożniejsi chętnie wybierają fare, powszechnie kryte trzciną chatki polinezyjskie na palach nad wodami laguny. W tym momencie przypomina mi się historia pewnego groteskowego Amerykanina, który żalił się, że przez całą noc nie zmrużył oka, bo plusk ryb pod podłogą był tak dokuczliwy, że nie mógł zasnąć.

Na Bora-Bora żyje Polak, Stan Wisniewski, właściciel Mai Moana, nie w pełni hektarowej wysepki na rafie koralowej, który posiada kilka bungalowów o interesującej architekturze dostosowanej do krajobrazu wyspy. To nad podziw barwna postać, podobnie zresztą jak i całe jego życie. W latach 60. wyjechał z Polski na studia do Paryża, gdzie niesłusznie podejrzany o szpiegostwo został potraktowany jak persona non grata. Wylądował w Maroku, gdzie imał się różnych zajęć. Jako operator filmowy pracował na dworze królewskim, reżyserował filmy dokumentalne, produkował wideo reklamowe. Któregoś dnia zmęczony mieszczańskim jestestwem sprzedał cały dobytek, kupił jacht i wyruszył w podróż dookoła świata. Zacumował po drodze w Papeete, na Tahiti, sercu Polinezji, gdzie zdecydował się pozostać na stałe. Potem kupił skrawek rafy koralowej odległej o 15 minut motorówką od Bora Bora i stał się hotelarzem.

Promem dostaję się na lotnisko leżące na moto Ute. Kiedy w 1943 roku Amerykanie poszukiwali strategicznego miejsca na zapleczu frontu walk z Japończykami, odkryli właśnie tę wysepkę. W ciągu trzech miesięcy zbudowali lotnisko, które nie odegrało jednak żadnej doniosłej roli. Kroniki odnotowują, że podczas gdy w Guadalcanal na Wyspach Salomona i innych rejonach Pacyfiku ginęły od nalotów lotniczych, malarii i innych chorób tropikalnych tysiące żołnierzy, tu, w bazie morskiej 6 tysięcy dobrze odżywionych boys zapewniło sobie komfortowy byt, łatwo znajdując wspólny język z miejscowymi vahine. Podobnie jak w czasach Cooka, dziewczęta w imię dobrych tradycji oddawały się do dyspozycji gości, tak i tutaj dzielni wojacy nie mogli narzekać na brak cielesnych uciech. Pewnego dnia jednak musieli opuścić rajską wyspę, ale lotnisko pozostało, stwarzając podwoje dla elitarnej wakacyjnej mekki.

Reżyser Jan Kolski dokumentuje nie tylko reporterską aktywność Jacka Pałkiewicza, ale i chwile jego relaksu

CV

JACEK PAŁKIEWICZ
- Reporter, eksplorator, odkrywca źródła Amazonki, twórca survivalu w Europie. Za „zasługi w dziedzinie rozszerzenia horyzontu geograficznego" w 1994 r. elitarne Royal Geographical Society w Londynie powołało go

FOT. BARTEK SYTA

do swego grona. www.palkiewicz.com. Autor książki „Palkiewicz.com"